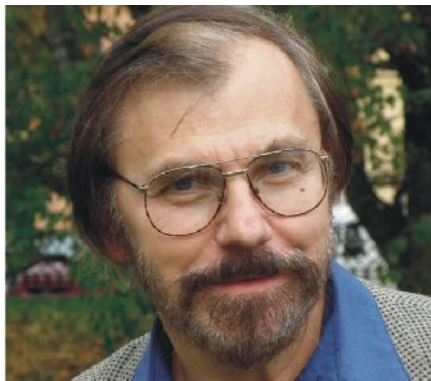


Listy do Pani A. (135)



Całkiem dobry dziadek

Droga Pani!

Przyjemnie jest wracać do miłych chwil, nawet wtedy, gdy są one przeszłością. Tak więc wracam teraz do wakacyjnego czasu na Mazurach. Chociaż byłem tam tylko dziesięć dni, wystarczyło abym się zrelaksował na „łonie rodziny”. Córka z zięciem mają tam działkę, prawie w głuszy, na obrzeżach wsi. Cisza, spokój, nie ma turystów, nikt niepożądany się tam nie włóczy. Miałem też okazję zintegrować się bardziej z wnukiem Hubertem, synem syna Jacka i synowej Kasi. Jak to brzmi: syn syna. Tak jakoś muzycznie i orientalnie; świetnie by to zaśpiewała Maryla Rodowicz swoim niepowtarzalnym głosem.

Hubert, to najmłodszy Jurkowski, chodzi do szóstej klasy, a przecież tak niedawno był uczącym się mówić dzieckiem. Teraz bardzo rezolutny, spokojny, zdyscyplinowany chłopiec. Starał się też pomagać wszystkim, zwłaszcza dziadkowi, choć z dziadka jeszcze całkiem dobry facet. Kto ciekaw niech sprawdzi. Przypomniał mi się w tej chwili kawał, jak to nurek śmietnikowy wśród „skarbów” zauważył śpiącą tam kobietę, i powiedział do siebie: „ktoś wyrzucił całkiem dobrą babę”.

Tymczasem poznany na plenerze w Staszowie poeta i mój warszawski krajan Leszek Lisiecki przesyła mi zdjęcia starej, przedwojennej, a nawet dziewiętnastowiecznej Warszawy. I tak uciekam od dzisiejszego, hałaśliwego miasta, od współczesnej architektury, która w dużej mierze nie ma nic wspólnego z prawdziwą sztuką architektoniczną; a zwłaszcza od ludzi biegnących w amoku, patrzących na siebie nienawistnie, przepychających się niczym nierogaczyna do koryta. Na tamtych zdjęciach ciekawa zabudowa, eleganckie panie i panowie. Nie widać pośpiechu, a wszyscy tamci przechodnie nie przypominają mieszkańców „królestwa neandertalu” – nie obrażając praprzodków. Taka miła odskocznia od współczesności, której może nie rozumiem, ale wciąż wydaje mi się, że ewolucja zaczęła działać w powrotnym kierunku.

Na szczęście nie wszędzie. Te klimaty

starej Warszawy odkrywałem podczas sierpniowego koncertu piosenki powstańczej na Placu Piłsudskiego. Z przyjemnością i niejaką nadzieją na przyszłość patrzyłem na twarze kombatantów, starych ludzi; jakże piękne i szlachetne twarze osób wychowanych, w zupełnie innych warunkach, w innym etosie, kiedy obowiązywała uczciwość, a nie wyścig szczurów. Bardzo dużo było młodych ludzi. Także innych, niż widzi się w ulicznym tłumie czy jakichś dyskotekach. Na pierwszy rzut oka budzą zaufanie. Widać, że to ludzie myślący, dobrze wychowani, uprzejmi, uśmiechnięci. I bardzo przejęci koncertem, historią, tradycją. Niestety giną oni w rozbiegającym tłumie przeróżnych lemingów, krwawików, „korpusiów” i innych tresowanych (albo i nie) homunkulusów. Ale dobrze, że ci „niedzisiejsi” są niczym drożdże w cieście miłałości, sztampy, szarości, nudnej powszedniości.

Oglądam też z przyjemnością zdjęcia poetów ze „Współczesności” albo Orientacji „Hybrydy”. Nie były to chłopaki z subkultury szukające łatwego statusu poety, piszący wiersze jak popadnie dla taniego efektu. To byli ludzie dobrze wykształceni, a przede wszystkim utalentowani. I nie było ich tak wielu. Przypomniałem sobie – jak to się w trakcie pisania do Pani przypomina! – powiedzenie nieodżałowanego Zygmunta Lichniaka, który w latach dziewięćdziesiątych skomentował masowe, rzekome nawrócenia: „uwierzę w nawrócenie kilku owieczek, ale żeby aż cały kierdel?”. Więc teraz mogę za Lichniakiem powiedzieć: wierzę w talent kilkunastu poetów, ale żeby – jak dziś – aż w kilka tysięcy? Wtedy były jakieś ramy, mniej lub bardziej sztywne reguły, które poetycki żywioł potrafił utrzymać w ryzach. Autorzy musieli dobrze opanować formę, by mogli nasycić ją swoim treściami, eksperymentować, demonstrować indywidualność. Bo aby szukać, trzeba wiedzieć gdzie. Dziś jest to bezładny, grupowy bieg w nieznanym kierunku. Tamci poeci w swojej czołowie są znani do dziś: Krzysztof Gąsiorowski, Jerzy Z. Górzański, Zbigniew Jerzyna, Jarosław Markiewicz, że tylko tych wymienię spośród całkiem sporego grona. Charakterystyczną rzeczą jest to, że dzisiejsi adepci aspirujący do „wielkości” tych swoich, przecież ważnych, poprzedników nie znają.

Czy oglądała Pani telewizyjną transmisję z Włocławka „Polski pod krzyżem”, czy jakoś tak brzmiał tytuł tej imprezy? Nic w tym złego, ale do mnie zupełnie nie trafiają do wszelakie spędy, a zwłaszcza religijne. To są tylko manifestacje przesyczone ideologią i triumfalizmem. Mają znaczenie przede wszystkim polityczne. To nic, że kilka osób, mniej lub bardziej naiwnych, szczerze wygłasza swoje tzw. „świadectwa”, że to wszystko ma pozory autentycznej modlitwy. Mnie nie przekonują podobne manifestacje, deklaracje słowne, modlitwy roszczeniowe. Jest do dla mnie zaprzeczenie wiary i ufnosci. Bogu nie trzeba dyktować czegośkolwiek, traktować Go instrumentalnie, bać się jak sędziego, demonstrować śpiewem, krzykiem, tłumną obecnością własną przynależność do Kościoła. To dobre dla stowarzyszeń, partii, harcerstwa. Przecież sam Jezus mówił, aby modlić

się w ukryciu, a nie na placach jak czynią to faryzeusze. Modlitwa dla mnie, to pewne doświadczenie metafizyczne niewymagające słów, gestów, żadnych rytuałów. Tu chodzi o intelektualne, duchowe, często ponadwzrostowe, tajemnicze wejście w inną niepoznawalną rzeczywistość, w której nie obowiązują ziemskie hierarchie, prawa, ustroje. Tego się nie da pojąć, opisać, trzeba w to wchodzić niejako intuicyjnie. I to jest jakiś prawdziwszy kontakt z Niepoznawalnym, niż spędy, gesty, zawrodożenie i mamrotanie. To mi aż nadto trąci pogaństwem, magią, zabobonem, niemającymi nic wspólnego z chrześcijaństwem. Ale może niektórzy tego potrzebują. W każdym razie mnie jest to najzupełniej obce. Tak więc patrzyłem na to wszystko z dystansem, jak zresztą na różne inne procesje, wielkie nabożeństwa czy świeckie parady. Czy Pani odczuwa tak samo? Z chrześcijaństwem podobnie, jak z wierszem. Jeszcze nieokreślony, nienapisany, będący zamysłem, przecuciem zaledwie, wydaje się dużo piękniejszy i atrakcyjniejszy od tego, który w trakcie pisania w pewnym sensie zostaje „naruszony” poprzez mowę.

Zwierzałem się Pani niejednokrotnie, że odchodzę od pisania recenzji. Z dwóch powodów. Nie chcę, by mnie utożsamiano z krytyką literacką; drugi powód – przynajmniej się bez bicia – to lenistwo. Czytam poezję, ale nie zawsze mam ochotę o niej pisać, szukać interpretacyjnego klucza. Wolę do niej podchodzić jako czytelnik, który nie musi niczego przybliżyć czy oceniać. Niech stanowi literacką, intelektualną przygodę. Rzadko czynię wyjątek, który zresztą potwierdza regułę, że tekstów krytycznoliterackich pisać już nie będę. Otóż dostałem do recenzji tom Elżbiety Cichli-Czarniawskiej „Zanurzeni w mroku”. Z radością przyjąłem tę właśnie propozycję. Poezja wybitna, pomysłowa, refleksyjno-filozoficzna. Mówi o świecie poznawalnym empirycznie, a jednocześnie o tajemniczej rzeczywistości przeżywanej intuicyjnie, nie dającej się zdefiniować, „udosłownić”, skodyfikować; umykającej wszelkim systemom.

Tym większa była moja satysfakcja, bo z wierszami Cichli-Czarniawskiej zetknąłem się już we wczesnych latach sześćdziesiątych ub. wieku, i zawsze jej utwory wywierały na mnie duże wrażenie. Tak zostało do dziś. Bardzo polecam Pani jej znakomitą twórczość. Zmuszającą do refleksji, ale też dającą nadzieję. Miejsmy ją zawsze, czego Pani i sobie niezmiennie życzę –

Stefan Jurkowski

